Lwów, 16. Maja. Nr 58. Rok 1854.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek, Czwartek i Sobote*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesieczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztowa rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

NIE UFAJ SOBIE.

Powieść przez Maryą z Chłędowskich Pomezańską.

(Ciąg dalszy).

II.

Przenieśmy się teraz na wieś i wejdźmy de ogrodu, który może po części stanowić typ pewnego rodzaju zwyczajnej u nas ogrodomanii. Nie raz bowiem czytelnikom moim zdarzyło się widzieć podobne ogrody po wsiach naszych z pretensyą do angielszczyzny, do parkowej powierzchowności. Piękne są zapewne ogrody obszerne, w których przyroda za pomocą sztuki rozwija się szeroko i swobodnie. Piękna jest ta oczy zachwycająca rozmaitość kwiatów, krzewów i roślin, które z różnych świata stron pozbiegły się, i umiejętnym rozkładem ogrodnika w stósownym szyku i stósownych stoją miejscach. Piękne są te zmiany ogrodowe, sztucznie ułożone, tak że przechadzający się zdają się co chwila zmieniać okolice; tu góry i skały, tam doliny, tu ciemny bór ze staremi zwaliskami, tam gaik z mruczącym strumykiem; tu grota, tam chata pustelnicza, tu trawnik jakby kobierzec kwiatami tkany, tam krzyż samotny, płaczącemi gałęźmi osłoniony. Wszystko to piękne, urocze, a nawet prawdziwe, ale do takiego ogrodu trzeba wiele miejsca, i wiele majątku.

Lecz cóż smutniejszego, jak to zwyczajne u nas naśladowanie większych ogrodów, jak taki park w miniaturze, w którym najdziwniejsza i najciaśniej skupiona panuje mieszanina. Bo jużciż dla piękności ogrodowych trudno wyrzec się ogrodowego pożytku. A więc nuż zasłaniać różami i georginiami poczciwe grzędy z kalarepą i porami; po za wonnemi akacyjami i szpilkowemi drzewami, mającemi niby bór ciemny wyobrażać, kryją się wstydliwie nasze śliwy i grusze. Giętka fasola, okręcając się o suche tyki liściem zielonym i pąsowym kwiatem, tworzy altanę bardzo piękną nawet, ale przecie nieśmiało wygląda, bo jej niskiemu pochodzeniu fasolowemu urąga kląb tuż obok stojący, złożony z kalin, spirei, róż i buldeneżów, i z tych wszystkich krzewów, które znowu nad użytecznemi roślinami dumne wznosząc czoło, chlubią się, iż nie do użytku, ale do ozdoby są stworzone.

Po takim to ogrodzie przechadzała się ładna panienka, i pominąwszy pożyczkowe i agrestowe uliczki, trzymając w ręku małe krosienka i jakiś zwitek papieru, zbliżyła się do altany, na którą składały się chmiele, fasole, grabina, cierń wirginijski, i krzywa jabłoń z owisłemi konarami. Wszystkie te drzewa nierozłącznie splecione, sprawiały miły widok i tworząc gęste zielone sklepienie, dawały cień bardzo miłą.

Na ławeczce altanowej usiadła panienka, i zdawała się być mocno zamyśloną, a nawet smutna nieco. Panna Felicya ważne miała do tego powody. Nazajutrz miała porzucić wioskę ulubioną, miejsce rodzinne, by jechać do nieznanego miasta, między nieznanych ludzi; a co gorzej miała porzucić pana Brunona, którego szczerze kochała, jakkolwiek niejedną z nim prowadziła wojnę. Pan Bruno był najbliższym sąsiadem rodziców Felicyi; poczciwy, pracowity i gospodarny posiadacz niewielkiej wioski, kochał Felicyję z całem wylaniem prawego serca swego.

Prócz tego powodu, był jeszcze drugi, niemniej ważny który Felicyję w głębokie wprowadził zamyślenie. Tym ważnym powodem był ów zwitek papieru, tylko co przez nią znaleziony. Od pierwszego rzutu oka poznała pismo pana Brunona, a zarazem zrozumiała, że to nie bilecik żadny, do niej pisany. Mimowolnie zwinęła go nazad, nie przeczytawszy. Dla czego? Bo dziwne jej przyszły do głowy myśli. A może to jaki bilecik pisany do innej piękności, którym przez omyłkę lub rotrzepanie obwinął jaką posyłkę do Felicyi? Serce jej uderzyło mocniej, bo zazdrością przyśpieszonym biegiem. Czyż bowiem może być przykrzejsze dla młodej dziewczyny uczucie, jak powziąć to smutne przekonanie, że się ma rywalkę, może ładniejszą i więcej kochaną? Jest to uraza najokropniejsza, bo dotyka nigdy nie przebaczającej miłości własnej. Z zazdrości przechód najłatwiejszy do żądzy zemsty. Już też Felicyja w swej rozsądnej ale zapalczywej główce układała, jak się srogo mścić będzie, jak pogardliwe rzuci na niego spojrzenie przy pożegnaniu, z jak zimnem sercem porzuci i wieś, i rodzinę, jak mu w ostatniej chwili da poznać, że jej obmierzła wieś i jej proste obyczaje, i zajęcia gospodarskie, tak ulubione przez pana Brunona, i że natomiast raduje się naprzód miastem, które jedno może zadowolnić kobietę dobrze wychowaną, jak... gdy nagle głośnym parsknęła śmiechem, przypomniawszy sobie, że jeszcze niewie o co rzecz idzie, bo nie przeczytała co tam wypisane na tym świstku znalezionym. Dopiero ciekawe nań rzuciła spojrzenie. Był to jakiś fragment wydarty, bez końca i początku, zawierający ustęp poetyczny, w którym

pan Brunon uznał za dobre, opiewać powaby cienia, tak długo poniewieranego na korzyść światła.

Felicyja czytała ten utwor poetyczny, z lat młodszych zapewne pozostały, z szczerym śmiechem pustoty na twarzy. Niemniej przeto przeczytawszy, uderzyły ją niektóre myśli dobrze oddane, pochlebiło jej niejako że pan Brunon mimo całego do wiejskich zatrudnień zamiłowania, ma w sobie żyłkę poetyczną, która się zawsze najrozsądniejszym podoba kobietom. I z myśli w myśl przechodząc, uznała że dziś, mianowicie przy letnim upale, cień altanki ma swoje powaby niezaprzeczone, godne poetycznej pieśni, bo jużciż tak jej tam przyjemnie siedzieć na tej ławeczce, a zapewne jeszcze byłoby przyjemniej, gdyby mogła tak razem siedzieć z Brunonem, i zawsze razem w lubem ustroniu, z daleka od wszelkiego nieprzyjemnego zgiełku; a tymczasem trzeba jechać, bo tak życzy sobie matka, nie sprzyjająca panu Brunonowi, i jego parafiańskim zalotom. I tak myśląc wzięła się Felicyja do swojej kanwowej robótki. Palce dobierały barw jasnych, gdy natomiast myśli coraz ciemniejszemi okrywały się barwami.

W tej chwili pojawił się młody człowiek, i cicho przystąpiwszy, ukryty w gęstem drzew cieniu, przypatrywał się dziewczynie, z wyrazem prawdziwej i szczerej miłości w oczach i twarzy. Widok ten, jakkolwiek pełen uroku dla niego, nie wystarczał mu, obiegł więc altankę szybkim krokiem, usiadł przy Felicyi, i ucałowawszy jej rękę przemówił do niej:

— O czem że to pani marzysz już tak długo?...

— O... o!.. miała już odpowiedzieć, o tobie!.. lecz skończyła rumieńcem tylko, i dodała: o cieniu naszej miłości!

— Jeżeli o naszej, to już dobrze, lecz dla czegóż o cieniu tylko?

— Wszak pan wiesz, że ja muszę wyjechac...

— Aby się nauczyć jak zapomnieć, mnie biednego wieśniaka, hreczkosieja, któremu wpadnie czasem plewa w oko, słoma we włosy, co nie trafi się tym upomadowanym i wyperfumowanym paniczom.

— Przecież, odpowiedzieła śmiejąc się; nie widziałam pana jeszcze ani z plewą w oku, ani ze słomą w włosach.

— Teraz nie; bo gdy przybiegnę z pola i spieszę w miłe sąsiedztwo, staram się o ile mogę zrzucić z siebie ślady gospodarskich zajęć, ale później, gdybyś już pani zezwoliła na szczęście moje, i została moją towarzyszką na wsi, kto wie czy niespojrzawszy nawet w zwierciadło, niecierpliwy szczęścia, nie przybiegłbym prosto z pola lub gumna, by złożyć prędko głowę znużoną na kolanach pani...

Felicyja się zapłoniła.

— Dziś płonisz się pani wstydem, a potem przyzwyczajona do miejskich elegantów, może się zapłonisz gniewem na widok gospodarskiego nieporządku w stroju moim.

— Skądże panu dzisiaj takie obawy do głowy przychodzą? Trzeba by na to zmienić w mieście serce i umysł, a ja przecież choć młoda jeszcze, nie mam pociągu do podobnej zmienności.

— Serce i umysł młodej dziewczyny, pozwól pani, jest wiotką gałązką, którą wiatr mody i przykłady miejskie mogą nagiąć w inną stronę.

— Jeżeli umysł i serce moje nie wzbudzają wiary; odpowiedziała urażona nieco; może pan zechcesz uwierzyć uporowi kobiecemu. Ja zaś stanowczo uparłam się utrzymywać zawsze, że twarz wieśniaka ogorzała wiatrem i słońcem, z czołem białem, zaszanowanem pod kapeluszem; dodała odgarniając z uśmiechem włosy Brunona; ma coś dziwnie zajmującego dla niewieściego serca, może dla tego, iż wskazuje w nim pracowitego i niewypieszczonego obrońcę dla słabej kobiety.

— Tak jest, droga Felicyjo! ja się czuje silnym do pracy, i do zabespieczenia losu kobiety którą ukochałem. Zarzucają mi iż pracuję za nadto, że odgrywam zarazem rolę pana, ekonoma i nadstawnika, lecz ty wiesz Felicyjo, że moją wieś obdłużoną dostałem w spadku. Chcę ją oczyścić i dla tego sam pracuję, aby ile możności niekrzywdzić i nieuciemiężać nikogo. Lecz daruj pani, jeżeli wracam do moich obaw. Są i w mieście ludzie którzy pracują po kancellarych lub nad książkami, których twarze nie znają ogorzałości naszej. Tych przecie mniej się boję, jak raczej takich, co trwoniąc majątki, trwonią zarazem i czas, i zbijają bruk od rana do wieczora, upatrują ładnych twarzyczek po oknach, a ładnej Felicyi za złe wziąć nie będzie można, iż nieznając miasta, pokaże często z okna piękną główkę swoją.

— Dzięki przynajmniej za to, że mam już naprzód rozgrzeszenie, jeżeli moja ciekawa główka wyściubiona przez okno, zawróci głowę brukowym jegomościom. I przyznam się że mam ochotę sprobować, choćby dla tego, aby przekonać się, czy te trzpioty miejskie, nie położą więcej ufności w serce prostej i szczerej dziewczyny, od wiejskich pedantów, pełnych prozaicznej przezorności.

— Zazdrość nie jest prozaiczna; jest ona zawsze objawem pewnej żyłki poetycznej w sercu. Nieraz ona zrobi z wieśniaków bohatyrów tragicznych, których sama możesz podziwiać codzień, przedstawianych na teatrze. Przypomnij sobie wówczas, że i twój Bruno nie może być wolny od tej namiętności, bo cię kocha, kocha z zapałem, niepodobnym do wyrażenia.

— Uważam panie Brunonie, że się myliłam, gdym cię miała za rozważnego tylko kochanka.

— Zapał nie wyłącza rozwagi. Chciałbym najdroższa Felicyjo aby i w twojej myśli i w twojem sercu pozostała ta rozważna obawa, na co narażasz mnie i siebie, odjeżdzając z tąd z tem mocnem zaufaniem. Wiem iż nikt ciebie więcej kochać nie może, ale nie jeden może cię zwieść pozorniejszą powierzchownością, lub doskonałem udawa-

niem miłości. Tacy ludzie niczem nie zajęci, są w tym względzie dla tego właśnie doskonali, że się ćwiczą w sztuce udawania. Mają potemu czas, majątek i modę: mają za sobą gust kobiet, lgnący do tego co ma pozór elegancyi i lekkości. Oni jak wiatr psotny, igrający chwilowo z lekka odzieżą kobiety, igrają na krótkie tylko chwile z jej obwarowanem sercem i umysłem.

— Coraz więcej przekonywam się o poetyczności pana Brunona; świadkiem ten ustęp, który dzisiaj znalazłam.

— Smutny to utwor czasów szkolnych! od których dzieli mnie czas, doświadczenie, i konieczna w mężu dojrzałym zmiana. Poezyę chowam w głębi serca, ale wybuchy jawne mych uczuć musiały stać się mniej idealne, i niestety więcej praktyczne.

— I zapewne więcej stosowne do ducha czasu, który stał się daleko popularniejszym. Dzisiaj są w modzie boginie ogorzałe, z bławatkiem we włosach, i kłosem w ręku!

— Felicyjo nie żartuj!

— Brunonie! nie poniżaj mnie bezzasadną zazdrością.

— Felicyjo droga! zazdrość moja nie jest bezzasadną i ty pojąć nie możesz jak niebespiecznie wabnem jest koło do którego spieszysz niebaczna! Felicyo! ty zapomnisz o mnie! Nie jedź! nie jedź! ja ciebie błagam o to. Pokaż ten o którym mówiłaś upor kobiecy. Wiem że jeżeli nie zechcesz koniecznie, matka cię nie przymusi do tej podróży. Ojciec twój ktory mnie sprzyja, i tak niechętnie patrzy na tę podróż.

— Słowa twoje mój Brunonie! przeciwny właśnie wywierają skutek. Twoja nieufność właśnie przymusza mnie do tej podróży. Chcę ciebie przekonać, że niezmieniona wrócę na wieś, z tą samą prostotą duszy i serca.

— *Nie ufaj sobie!* Felicyjo! Nie jedź! zaklinam cię.

— Muszę jechać! ubodłeś moją miłość własną!

— Jedź więc, kiedy tak chcesz koniecznie! Ale rozważ raz jeszcze, że wiesz sama najlepiej, jaka z tej podróży wybuchnąć może dla nas burza. Matka twoja wywożąc cię ztąd, chce ciebie obznajomić z dobrym tonem światowej damy, której wzorem ma być dla ciebie pani Zenobia, kobieta, co straciła sławę i majątek i szczęście, aby tylko naśladować zwyczaje modnego swiata. Tej kobiecie udało się tylu bolesnemi stratami utrzymać się klamki tego zaczarowanego pałacu, do którego chce cię wprowadzić. Ona ma być wzorem tego, czego my do naszego szczęścia zupełnie nie potrzebujemy. Poznawszy ją, zadrżysz, ale powoli oswoisz się z tem co ci się będzie uśmiechać, co ciebie wabić będzie w zatrute swe objęcia, i w końcu matka dopnie swego celu, i ty zbrzydzisz sobie wieśniaka. Matka wymaga koniecznie dla ciebie eleganta i familianta. A ja Felicyo, gdybym miał postradać twoją rękę, a nawet miłość, nieodstąpię od moich zasad, i pogardy dla wszystkiego, co tylko czczym blaskiem świeci.

— Czy mniemasz że mnie wola matki tak łatwo nagiąć może?..

— Jedź, kiedy już inaczej być nie może, ale pamiętaj zawsze, że w twoim ręku moje szczęście lub nieszczęście. I zezwól przynajmniej na jeden środek, który i w oddaleniu będzie nas łączył i przypominał nawzajem.

— A ten środek?

— Jest, abyśmy pisywali do siebie.

— Brunonie! czy możesz tego wymagać odemnie. Nie jesteśmy zaręczeni; ojciec wie wprawdzie o naszej miłości i sprzyja nam, ale matka wiesz najlepiej jak jest przeciwna, i jakie sobie roi świetne nadzieje. Jakże chcesz bym postępowała przeciw jej woli, pisząc do ciebie, kiedy ona całą nadzieję właśnie pokłada w naszem rozłączeniu. Ja dotrwam, ale jeżeli wola matki mojej będzie niezłomna, jeżeli rozrządzi moją ręką....

— Ale moją nikt nie rozrządzi — ozwał się Bruno żywo. Ty albo żadna moja Felicyo! Cóż więc stracisz pisując do mnie?..

— Bardzo wiele! a gdyby się wydało, jakiż cień na moją sławę!

— W tem moje staranie. Osoba która będzie listy nasze odbierać jest pewna, i zachowa nam tajemnicę. Jest to dawna służąca mojej siostry, przywiązana do nas, która teraz służy u pani Zenobii.

— Dajmy na to, że na teraz tajemnica byłaby zachowaną, ale później, gdybym przez matkę była przymuszona zerwać z tobą, może przez zemstę, lub chęć chwalenia się...

— I pani to mówisz do człowieka, którego kochasz! i któremu chcesz powierzyć przyszłość swoją. O Felicyo! ty mnie jeszcze nie znasz! Wierzaj mi, że mężczyzna zdradzający zaufanie kobiety, czy przez zemstę, czy przez lekkomyślność, niedbalstwo lub też chęć chwalenia się, jest podług mnie więcej jak podły, podlejszy od zabójcy, najnikczemniejszy z ludzi, niegodzien żyć w towarzystwie ludzi uczciwych. I by prawdę wyznać, niewiele jest takich ludzi podłych, i więcej nawet powiem, znałem ludzi, nieuczciwych i płochych w każdym innym względzie, którzy przecie umieli szanować sławę kobiety, i jej zaufania nie zdradzili. Nie Felicyo! tyś teraz niewłasnem przemówiła sercem.

— Dobrze więc Brunonie! Będę pisywać czasem do ciebie.

— Zaufałaś mi Felicyo! dzięki tobie! Jest to dla mnie rękojmia przyszłych naszych związków stalszych. Jestem już spokojny! Bądź więc zdrowa! bądź zdrowa Felicyo! Dziś cię żegnam całem sercem, bo jutro będę cię tylko zimnem żegnał słowem, aby nie gniewać matki twojej.

I Bruno złożył tysiące pocałunków na rączce Felicyi, której mu nie wzbraniała. I żegnał i odejść nie mógł, aż nareszcie ośmielony czułym wzrokiem Felicyi, objął jej kibić, i wycisnął pierwsze silne pocałowanie na różowych

ustach dziewczyny. I tego mu Felicya niewzbroniła; spłonęła tylko wstydem, i mimowolnie lubego doznała uczucia. W tej chwili przysięgła sama przed sobą, iż odtąd żaden mężczyzna nie splami jej ust nowym pocałunkiem i nie zetrze tej lubej pamiątki pożegnania. Pewność szczęścia i pewność własnych uczuć pocieszyły ją, i to pożegnanie, choć smutne, odbyło się z pewną swobodą i spokojem.

Nazajutrz wybierała się Felicya w drogę, z silnem postanowieniem, że tylko Brunona żoną będzie. Wiedziała, że będą trudności, ale była pewną, że upór matki przełamie łzami, i silną wolą. Z pewną dumą myślała nawet o tem, że ta podróż stanie się dowodem jej stałej miłości, kamieniem probierczym jej zasad niezłomnych. Mimowolnie uśmiechała się, gdy sobie przypomniała słowa jego: *Nie ufaj sobie Felicyo!*

III.

Pani Dążycka, widząc swobodną spokojność córki, wnioskowało z niej, że w uczuciach Felicyi zaszła zmiana dla jej planów korzystna. Uradowana tem wybierała się w drogę z wielkim pospiechem i większym hałasem. Pani Dążycka należała do tych kobiet, które przebywszy czy przypadkiem, czy w skutek chwilowych stosunków lat kilka na tak zwanym wielkim świecie, nigdy tego zapomnieć niemogą i chcą się przez całe życie gwałtem stosować do przepisów mody, rozumianej przez nie najdziwaczniej. Oddalone od tych kółek, do których niegdyś należały, żyją tylko tradycyami, które najśmieszniej wyglądają w świecie mody, tak przeciwnym wszelkim dawnym tradycyjom. Do tych tradycyj dosztukuwują nieco nowo zasłyszanych wieści o wytworności wielkiego świata, z czego wyrabia się najdziwaczniejsza całość. Pani Dążycka nigdy tego zapomnieć nie mogła, że panną jeszcze bawiła lat parę przy jednej księżnie, której była daleką kuzynką: niemniej też przypominała sobie z roskoszą i dumą, że poszedłszy za mąż, i dostawszy znaczną dosyć gotówkę od bogatej kuzynki, póty mieszkała w stolicy, póki tej gotówki nie straciła. I w tejto epoce wprowadziła panią Zenobią w świat, zniszczywszy całą jej uprojektowaną przyszłość spokojną. Później wprawdzie trzeba było pojechać na wieś, bo mąż był nadto rozsądny, aby majątek stracić na głupie widzimisia żony, a wieś nie była zbyt wielka; ale mimo to miała się zawsze za damę światową, i do światowych wzdychała błyskotek. Mimo rdzy parafiańswa, która pomału zacierała dawny jej blask, chwytała się wszelkich środków, by się choć chwilowo dostać na większą świata widownią. Co roku na wiosnę przychodziły spazmy okropne, a więc w lecie trzeba było jechać do wód. Co roku w zimie powtarzały się jeszcze okropniejsze spazmy, połączone z czarną melancholią, spowodowaną przez stratę suczki Bonci, którą miała od księżnej pani; a więc mąż wyprawiał ją na parę tygodni do stolicy na karnawał. Na tych wycieczkach, dosyć zresztą nudnych, bo zardzewiałą parafianką świat modny nie bardzo czule przyjmował, tyle tylko zarabiała, że mogła potem w sąsiedztwie rok cały chwalić się niemi, i żyć cały rok pamiątką zachwyconych tu i owdzie mód nowych, które gdy z niemi na rok przyszły wystąpiła, pokazały się stare i śmieszne.

Lecz i ta pociecha niedługo trwała. Choć się miała za panią, przybywały rok po roku dzieci, co się niekoniecznie godzi z ideą państwa, podług tego dawnego przysłowia: poczem poznać szlachcica? po śmieciach i po dzieciach. Przybywały mężowi wydatki, czasy się pogorszyły, i nareszcie mimo spazmów i czarnej melancholii musiała siedzieć na wsi, bo mąż odmówił stanowczo funduszów na podróże.

Po raz to tedy pierwszy od lat kilku, wybierała się do miasta, wymógłszy na mężu, że pozwoli jej odwieźć Felicyję do pani Zenobii. Mąż przystał, bo może rad był spróbować, czy się jej nie trafi jaka lepsza w mieście partyja, a może też i wpłynęło przekonanie fałszywe o dobrym bycie bezdzietnej pani Zenobii. Z tego samego powodu pani Dążycka udecydowała, iż weźmie wszystkie swoje dzieci, czyli raczej aniołki jak je nazywała, bo kto wie czy który z nich nie podoba się pani Zenobii. Wszystkie takie piękne; mówiła do siebie; Zenobia niema dzieci, może które z nich przyjmie za swoje.

Wybieranie to odbyło się jak mówiliśmy nadzwyczaj hałaśliwie, bo pani Dążycka szastała się niepospolicie, zbierając wszystkie manatki, z których trzeba było koniecznie wyrobić modne przybory. Biedna Felicya, przez kilka już tygodni, musiała przerabiać suknie matce i rodzeństwu, wedle przepisów, które pani Dążycka dawała stosownie do dawnych pamiątek, i do jenialnych pomysłów, które improwizowała w tak stanowczej chwili. Nieskończylibyśmy gdybyśmy chcieli opowiadać wszystkie szczegóły tych przygotowań, i chcieli opisać, jakich to natężeń stały się one przyczyną. A niemałe to było zadanie, przebrać siebie i tyle dzieci, prócz jednej Felicyi, która stale oświadczyła, iż nic nie da przemienić w swojej garderobie. Już prawie wszystko było gotowe, gdy na nieszczęście przypomniała sobie, iż kiedyś tam zdybała w drodze jakąś księżnę z małemi dziećmi, i widziała na głowie księżny kapelusz dzikiego koloru, a na głowach dziatek kapelusiki słomiane. A więc muszą być na drogę kapelusz dziki dla pani a dla panienek słomiane kapelusze. (D. c. n.)

KANONIZACYA Ś. JACKA.

Rzekł ojciec święty: „Rycerzu mój dobry,
Narodzie polski! wytrwały i chrobry,
Do twoich bitew za Chrystusa Pana,
Daję ci jeszcze jednego hetmana,

Kość z kości twojej. Polonio! Polonio!
Jak mszalne dzwony twoje miecze dzwonią,
Najbezpieczniejsza ty twierdza.

Żywot twój pełen ofiary, a cichy,
W morze miłości spływa; tu pychy,
I szumu patrzą, na falach krwi płyną,
Rwą się przez skały, wzgardzili doliną....
Ach, tylko w przepaść spada katarakta!»
Tak ojciec święty żalił się, i akta
Kanonizacyi potwierdza.

Powstali z klęczek Miński wojewoda,
I pan Tworowski z Buczacza, krew młoda;
A gdy ich papież przyciskał do łona,
Rzekł drugi: »Twoja potrójna korona,
O! ojcze święty, niespadnie ci z głowy,
Pokąd za tobą stoi ród piastowy,
Skiń, a twą skargę gdy rozgłoszą wszędzie,
Wnet tobie Polska na odsiecz przybędzie,
I ja i moja załoga buczacka,
Na honor świętego Jacka!»

Słuchał go słodki i uśmiechajacy,
W końcu rzekł papież: »Synu mój gorący,
Źle mię pojąłeś, nic mi nie zagraża,
Żali się tylko mój głos, nie oskarza;
Przy twojej jasnej pokorą ojczyźnie,
Pogasły inne narody, jej bliźnie,
Ztąd słowo żalu, bo ich widzę zgubę,
Ty się strwożyłeś o mnie, dziecko lube?
Błogosławieństwo tobie!—a w niedzielę,
Ujrzę was w Piotra kościele.»

Dumał Tworowski: »Rzuciwszy herezie,
Czuję że anioł do nieba mnie wiezie,
W dźwiękach modlitwy i w kadzideł dymie,
Tonie ma dusza.—Dobrze mi w tym Rzymie!
Aż żal odjechać.—Ten staruszek biały,
Synowskie we mnie obudził zapały,
Chciałbym mu służyć jak panu
Do samej śmierci; wiec tem głowę biedzę,
Czem go przekonam, że go tak nawidzę..
Gdy dłużej myślę, myśli mam zawilsze.....
Pójdę! i dam mu to, co mi najmilsze« —
I żeby trudnej kwestyi nie odnowił,
Zebrał się szybko, wziął co postanowił,
I poszedł do Watykanu.

«Mój ojcze swięty» mówił do papieża;
«Niech ten dar mały tobie nie ubliża,
Wszak dawniej nieraz brano za ofiarę
Od biednych ludzi gołąbeczków parę.
Przyjmże łaskawie, jak ci daję wiernie,
Tę złotą klatkę, barwioną misternie;
Pełno w niej ptasząt; z Polski one rodem,
Od jutrzni cudnie pieją korowodem, —
By mi tu w szkołach słodkie niosły słowa,
Przysłała je matka wdowa.

A ja je tobie tu zostawiam w Rzymie.
Aby ci niosły mej ojczyzny imię.«

A nato papież: »Późne twoje chęci,
Ciebie i kraj twój nie stracę z pamięci.
Biedne sieroty! jak patrzą przez siatkę,
I one także mają czułą matkę! —
Gdy ja się cieszę, niechże wszystkich cieszę,
Ja twoją klatkę i bez nich zawieszę.—
Złote więzienie otwieram z nienacka.
Badźcie wolnemi w cześć świętego Jacka!
Głoście ją lecąc przez kraje nieznane,
Wolnością udarowane.«

K. U.

Jeszcze raz o feuilletonie Czasu.

Z nad Dunajca.

Dawno już zbierałem się napisać kilka słów do pisma waszego, jakie mi przyszły na myśl po przeczytaniu korrespondencyi w Nrze 29 zawartej a wymierzonej na przeciw feuilletonowi «Czasu;» ale poczęści jako szlachcic na wsi mieszkający nie miałem czasu, a poczęści bałem się zaczepiać piórem takich Zoilów, jakich Nowiny posiadają pomiędzy korrespondentami swymi. Bo cóżby się ze mną szlachcicem nie do pióra przyzwyczajonym stało, kiedy się ci panowie korespondenci tak ostro biorą do takich pisarzy jak np. p. L. S. Lecz duch we mnie wstąpił po przeczytaniu najprzód korespondencyi lwowskiej w feuilletonie Czasu N. 96, a powtóre jeszcze dzielniejszej korespondencyi w Nrze 54. Nowin. Kiedy Lwów i Kraków podobno takich posiadają pisarzy, mogę i ja, jakkolwiek simplex servus dei, wystąpić z piórem i dodać moich parę uwag. Bo tych przecie korespondentow zrozumiałem zupełnie i poznałem w nich ludzi prawdziwie moralnych. A muszę wam, moi panowie, z góry zapowiedzieć, że jestem sam wielce za moralnością, bez której nie rozumiem żadnego pisarza. To też najmocniej mi się podobało prawidło szanownego korespondenta lwowskiego, żeby, zanim się książka przeczyta, zajrzyć pierwej na kompaturkę, kto jest jej autorem. Cóż to za mądra inwencya! A że myśli mądre są zwykle płodne bardzo, śmiem i ja przy tej sposobności podać pod rozsądzenie czytającej publiczności moją myśl pokorną, zrodzoną z onego wielkiego pomysłu. Oto np. dzienniki mają zwyczaj pisać jakieś tam recenzye dzieł wychodzących, w których rozbierając dzieła, przytaczają treści tych dzieł. Czy nie lepiej byłoby po prostu dawać krótkie życiorysy autorów, wiadomości o ich życiu domowem? Byłoby to nadzwyczaj interesujące; nasze żony chętnieby to czytały a my, których pasya naszych żon i córek do powieści niemało kosztuje, wiedzielibyśmy naprzód co kupować, a co nie. Będzie to oczywisty zysk dla moralności i dla budżetu naszego. Lecz nie do tego ja zmierzam. Przeczytawszy korespondencyą kołomyjską obstupui! Nie z powodu zdania o panu L. S., ktorego dzieł czytać a o którego zdolnościach jako pisarza nie myślę wyrokować, dopokąd się nie dowiem sposobem wyżrzeczonym o jego moralnej wartości. Wówczas dopiero zrozumiem, czy można czytać jego pisma, czy nie?

Ale to tylko nie mieści mi się w głowie, jak feuilleton Czasu może być lichym, kiedy jest feuilletonem Czasu! Bo o Czasie który prenumeruję i o jego redaktorach mam ja wysokie wyobrażenie. O redaktorach wiem od stryjecznej ciotki mojego wuja, staruszki, bawiącej na dewocyi w Krakowie, że to są ludzie wielce religijni i mocno moralni, nie mogą więc tylko znakomite redagować pismo. A co do artykułów! Prawdziwie tak mi trafiają do serca, że nie umiem wyrazić dosyć mocno, jaką rozkoszą napawa się serce moje, gdy czytam, mianowicie wstępne artykuły tego arcypisma. Mój sąsiad brodaty, który nawiasem powiedziawszy, wniósł do domu mego zarazę literatury beletrystycznej, nieznanej u mnie, póki żyły dwie pierwsze poprzedniczki mojej trzeciej młodziutkiej jeszcze żony, niemało mi krwi napsuł i jeszcze psuje zarzutami jakie czyni temu doskonałemu dziennikowi. Ja mu darmo powtarzam, że dziennik musi być dobry, kiedy ma takie mnóstwo prenumeratorów. On mi na to ni w pięć ni w dziewięć, że dziennik ten prenumerują jedynie przez patryotyzm, bo to jedyny u nas był samodzielny większy dziennik, że redaktorowie nie czują się ztąd do wdzięczności dla kraju, który ich żywi, że zrobili z tego dziennika rodzaj monopolu, że zapominają o kraju, bo nie traktują kwestyi krajowych, ani też mają korespondentów z kraju, że nareszcie to niedługo już potrwa, bo dziennik znajduje się na jakiejś niebezpiecznej pochyłości i lada chwila skręci kark, to jest tracąc samodzielność, straci i prenumeratorów, że, a ktoby tam spamiętał, co on mi naplótł. Mój sąsiad brodaty jest dość dowcipny, moja żonka uśmiecha się, a ja znudzony zostawiam ich samych i wynoszę się do kancelaryi z ostatniemi numerami Czasu by je czytać i odczytywać. I warto niezawodnie. Co mnie przed wszystkiem zastanawia i zachwyca i zadziwia, to doskonałe tego dziennika redakcya. Inne dzienniki mają ten nieznośny dla mnie zwyczaj, że ciągle jednę i tę samą myśl popierają, jednę i tę samą dążność przeprowadzają i czytelnika ciągną za sobą jak niewolnika jakiego. W Czasie tego wszystkiego nie ma. Mój sąsiad brodaty porównał go raz do kiełbasy, w którą rozmaite posiekane wpychają mięsiwa a do salami dają podobno i szczury i koty.

Niech sobie gada zdrów. To mi się właśnie podoba. Z głównego nieraz artykułu zdaje mi się że to dziennik kościelny, z korespondentów wiedeńskich poznajesz przecież, iż jest to gazeta nasza, choć współpracownik berliński na północ patrzy jak w tęczę. Człowiek ma przecie wolne prawo wyboru. Albo czy może być doskonalszy w jakiemkolwiek piśmie układ? W każdem innem jak człowiek przeczyta wiadomość, czytając potem drugą stronnice, łatwo ją zapomina. W Czasie choćby kto chciał, to niezapomni, bo jedna i ta sama wiadomość powtarza się zwykle cztery razy najmniej. Najprzód po raz pierwszy w przeglądzie, raz drugi w artykule głównym, raz trzeci w korespondencyi, raz czwarty nareszcie w artykule o kraju zkąd wiadomość. Do tego mój brodacz twierdzi że przegląd to wiadomości z ostatniej poczty, główne artykuły to istotny przegląd, a korespondencye to artykuły kierujące. Może i to być, wszak i na słońcu są plamy. Wszystko to nic w porównaniu z doskonałością artykułów samych, któremi się człowiek, z głową i sercem na swojem miejscu, musi delektować koniecznie *). Chociaż wartuję ja wszystkie numera z wielką uwagą, pamięć moja szwankuje nieraz; nie mogę więc per extensum przytoczyć cudnych tego dziennika sensów moralnych, bo niektóre tkwią w głowie prawdziwym ćwiokiem. Jest np. artykuł o wychowaniu, w którym pamiętam to axioma, godne wiekopomnego słupa: »Rodzina nie powinna mieć żadnego prawa do wychowania dzieci tylko kościół.« Albo gdy mówi o powołaniu kobiet, jest arcymądry przypisek takowej treści: »*Powołaniem kobiety nie jest być żoną ani matką ale towarzyszką życia.* Sens ten musi być mądry zaiste, kiedy go nawet pochwalił mój brodacz, mówiąc z moją towarzyszką życia. To są dawniejsze rzeczy. Ale w tym roku np. proszę przeczytać Ner 82 z dnia 9go kwietnia. Jak tam dzielnie występuje na przeciw tej tak chwalonej, literaturze oświacie i cywilizacyi zachodniej, która na nieszczęście przyjęła i wkorzeniać się poczyna i w środkowej Europie. Tem mi trafił w sedno. Bo jakem katolik nie rozumiem, co tam tak bają o tej cywilizacyi zachodniej lub środkowej Europy. Że tam może parę i telegrafy wymyślono? Po śniegach i lodach poczty i kuryery również prawie szybko lecą. Co robi para i walce maszyn, to samo zrobić może nahajka i kij, a juściż że ta ostatnia maszynerya prościejsza daleko, każdy rozsądny przyzna. I słusznie rzeczony artykuł powiada, że literatura, prawa, rękodzieła i fabryki nie są cywilazacyą, jeżeli się coś podobnego może stać, jak się stało w miasteczku irlandzkiem, gdzie przy inauguracyi jakiegoś kościoła, bawiono się w udany dramat sądowy. Na tem tedy przedstawieniu skarany winowajca na szubienicę, gdy mu zarzucać miano stryczek, przez nieszczęśliwy przypadek usunięcia ławki, na której stał, upadł, złamał kość pacierzową, i umarł. Czy może być oświata w kraju gdzie się coś podobnego stało! Czy może istnieć poczciwa i moralna literatura w takich krajach? Darmo powtarzał, że to jest wiadomostka gazeciarska, a choćby prawdą była jest zawsze przypadkiem, że trzeba być obranym z rozumu, aby z jednego niczem nie sprawdzonego przypadku, potępić całą cywilizacyą, dzieło długich wieków i pracy kilku narodów. Ja go zgromiłem krótko i węzłowato, że podobna zabawa nie przyszłaby do skutku gdzieindziej, gdzie tej cywilizacyi zachodniej i srodkowoeuropejskiej niema. A gdyby przyszła, i gdyby dziennik jaki śmiał ją z zimną krwią umieścić, grający komedyą dostaliby batogami a dziennikarz poszedłby przypatrywać się

*) Ustęp o artykułach politycznych Czasu, redakcya opuszcza. R.

odwiecznym lodom. I słusznie. Ja nie lubię sam rozdawania batogów i chociaż używałem ich przed laty, od czasu zniesienia pańszczyzny nie rozdałem ani jednego kija, wyznać muszę, iż wolę batogi niżeli oświatę podobną.

Jak ładne są w tym względzie słowa tego artykułu, gdy w słusznym zapale temi odzywa się słowy: Gdzież doszła społeczność nasza, i gdzież jeszcze zajdzie, aby wypadki takie miały miejsce, aby dzienniki podawały je bez żadnych uwag, bez wyrazu oburzenia i potępienia, aby były anegdotami? Rozpoczęły się indagacye! i to już ma być dosyć? i na tem koniec? Naturalnie! cywilizacya więcej nie wymaga! Śliczna mi cywilizacya europejska, która nic więcej za to nie wymaga; cywilizacya prawdziwa postąpiłaby w tej mierze daleko praktyczniej. Nie rospoczynałaby indagacyj, lecz od razu wymierzyłaby sprawiedliwość. Aż mi się dusza radowała, gdym w kilka dni potem wyczytał w Nrze 86 korespondencyę z Berlina, dzielącą to samo zdanie o oświacie zachodniej. A jak się jędrnie wyraża ten korespondent, i niestety jak słusznie. «Będzie to, powiada, «groch rzucony na ścianę dla tych, którzy mniemają, że berło oświaty piastują tylko zachodnie narody.» Gdym to czytał głośno, mój brodacz ozwał się z śmiechem homerycznym: „A gdzież są ci (tu użył nazwy której nie pamiętam), którzy mniemają inaczej?” Niech się śmieje, niech gada sobie! Zaślepienie tysiąca, miliona ludzi nie jest i niepowinno wpływać na lepsze jednego człowieka zdanie! To też z entuzyjazmem zawołałem: Jakże się nazywa ten dzielny współpracownik Czasu? «Adam Gurowski podobno!»— odpowiedział mi brodacz, lub coś jemu podobnego. O! żeby to ten Adam Gurowski chciał nam kiedy wypowiedzieć, który to naród piastuje berło oświaty?

Lecz dosyć już tego. Przebaczcie gadulstwu starego szlachcica, który ma młodą żonę i przyjaciela brodacza! Ośmieliłem się odezwać, widząc że zaczynają występować korespondenci prawdziwie rozsądni. I kończę już tem jeszcze pytaniem, ażali redakcya Nowin, pozwoli od czasu do czasu przesłać sobie zapytanie o tej lub owej nowej książce, czy jej autor jest człowiek moralny i dobrze prowadzący życie?... Chciałbym sobie sprowadzić kilka dzieł agronomicznych, jedno weterynarskie o leczeniu bydła i koni, i chciałbym pierwej wiedzieć, autorowie tych dzieł co to są za ludzie, jakie ich życie prywatne, abym się zdecydować mógł. Proszę o to w imieniu zdrowego rozsądku, zdrowych obyczajów i mojej kieszeni.

Rozmaitość.

* Najjaśniejsi Państwo mają w połowie czerwca udać się do Pesztu. Już tam czynią przygotowania do przyjęcia Cesarstwa. Wiadomo jaki entuzyazm między Węgrami sprawiła wiadomość iż Najjaśniejsi Państwo przyjmowali gratulacyjną deputacyą węgierską, ubrani Oboje w strojach węgierskich, a Cesarz Jegomość przemawiał do deputacyi po węgiersku.

* **O fundacyach polskich, istniejących niegdyś we Włoszech.** Pielgrzymki pobożne odbywane dawnemi czasy do Rzymu i Loretu, dały początek niektórym fundacyom, przeznaczonym dla pątników z Polski przybywających. Fundacye te miały uposażenie w dobrach ziemskich, w budowlach i kapitałach; były zaś następujące: Kościół, szpital i dom świętego Staaisława w Rzymie, założony przez kilku panów polskich, celem udzielania przytułku pielgrzymom polskim. Do tego to kościoła należały jeszcze: Domek leżący w miejscu zwanem *Monte Caprino*, oraz winnica we wsi *Merino*, o ośmnaście mil włoskich od Rzymu odległa. Posiadał prócz tego rzeczony kościół prawo jurysdykcyi, uwalniające od podległości miejscowemu rządowi, nabyte za 25,000 czerwonych złotych. Kościoł, szpital i dom świętego Stanisława zostały wcielone do dóbr narodowych państwa francuskiego w roku 1810; dom sprzedano; kościół i szpital, lubo nie miały stałej intraty, utrzymywał się mimo to kosztem i staraniem będącego przy nim kapłana. Znaczne bogactwa kościoła również przez Francuzów zabrane zostały. Domek zas w Monte Caprino i winnica w Merino, przywłaszczone sobie zostały przez osoby prywatne, Drugą własnośé pod imieniem narodu polskiego będącą w Rzymie, składały kościoł i dom, zwane *Madonna del Pascolo,* fundowane przez Bazylianów. tudzież domek do tegoż kościoła należący, położony przy placu *della Madonna de Monti,* także w Rzymie. Trzecią własnością narodu polskiego w Rzymie, stanowiła summa 25,000 scudi czyli złp. 250,000, którą Bernardynki sandeckie złożyły w kassie depozytowej zwanej *Luoghi de Monti,* na wydatki kanonizacyi błogosławionej Kunegundy, zakonnicy w tymże klasztorze. Gdy zaś do tego obrzędu nie przyszło, korzystający z upadku kraju kardynał *Tommasio Autici,* podówczas minister polski przy dworze apostolskim, summę pomienioną sobie przywłaszczył. Okrom powyższych, istniały jeszcze pod imieniem narodu polskiego trzy posiadłości, położone w Lorecie, zwane *Bella Luce, S. Giuseppe* i *S. Ignazio,* nabyte na fundusz dla pielgrzymów polskich przez Jana i Agnieszkę z Firlejów małżonkow Gostomskich. Zawiadywali niemi Jezuici, czyli ustanowiony przez nich spowiednik polski w Lorecie, do roku 1771; później zaś, a mianowicie w roku 1792, zajął je także wspomniony wyżej kardynał Autici. Do funduszu loretańskiego należała także summa 2850 scudi, czyli złp. 28,500 z zapisu Józefa Zebrzydowskiego, kanonika krakowskiego i kilku innych osób. Ostatnią własnością był dom w mieście *Macerata,* czyniący rocznie 25 scudów dochodu, kupiony na rzecz funduszu loretańskiego przez Gąsiewskiego. Dom ten przeszedł także w posiadanie Auticiego Wartość powyższych posiadłości, szacowaną była na początku bieżąceg. stulecia jak następuje:

a) Possesya świętego Stanisława	złp.	200.000.
b) Attynencye tej possesyi	—	9,250.
c) Possesya del Pascoli	—	162,500.
d) Possesya loretańska	—	67,150.
Do czego dodając dwa kapitały:		
e) Po Bernardynkach sandeckich	—	250,000.
f) Z zapisu Zebrzydowskiego	—	28 500.
B. W.	Razem złp.	717,380.

† Słowo pamięci, rzucone zmarłemu w pośmiertnem wspomnieniu, są jak łzy padające na marmur, a nawet gorzej, bo marmur dość zimny milczy, kiedy w świat posłane, są z kolei zdeptani, ominione, nawet wyśmiane.... Jednak, prawdziwej cnoty, prawdziwej zasługi tak mało, tak bardzo mało na ziemi, że kiedy tam onej gwiazdeczka czystem paląca się światłem zagaśnie.. dla tych co byli jej blisko, co podobali sobie „pięknie” onej, staje się ulgą i potrzebą posłać w świat przynajmniej jeden mały kwiateczek niezapominków, z tych wielu co kwitną w pamięci ich. Czwartego maja b. r. Kolbuszowa smutnym dotkniętą została wypadkiem który echem szczerego żalu odbił się w całej okolicy.

Zacna pani Adela Neymanowska, niewiasta w sile wieku, zgasła nagłą śmiercią w miasteczku tem, które długo było przodków jej własnością, w którem dziecinne swoje spędziła lata, a w późniejszych często zamieszkiwała. Życie tej pani było ciche, a pełne miłości, toczące sie po bardzo ciernistej drodze, z której silna i szlachetna jej dusza niezboczyła nigdy, słowem było to życie „czynu.“ Dość jest wymienić jeden tylko rys poświęcenia się tej pani żeby obudzić dla niej uwielbienie.

Ś. p. zmarła z domu hrabianka Tyszkiewiczówna z książąt Lubomirskich, oddała rękę swoją panu Neymanowskiemu, jedynie natchniona szczytną chęcią poświęcenia się wychowania czterech córek jego, które małemi sierotami odumarła matka. Przez lat kilkanaście ta szlachetna pani pełniła trudne obowiązki swoje z bezprzykładną wytrwałością, miłością i zapomnieniem siebie. To był główny cel jej, ale piękna ta dusza nie poprzestała na nim, w cichości i zupełnem ukryciu czyniła ona dobrze w całem słowa tego znaczenia a dni jej były wypełnione, jak być powinny dni prawdziwie chrześciańskiej niewiasty. Obok tylu pięknych zalet, obok dziwnie zgodnego połączenie cichych cnót domowych, z wielkiemi cnotami pani, matki, i polki s. p. Adela Neymanowska łączyła skromność ukrywającą zupełnie jej czyny.

Na obchód pogrzebowy, który odbył się z powinnem uczczeniem zwłok tej zacnej kobiety, zgromadzili się licznie obywatele, a tłum nie włościanie, nie tylko z wsi dziedzicznej p. N. ale zewsząd gdzie doszła wieść jej rychłego skonu. Proboszcz miejscowy piękną powiedział mowę, tem piękniejszą że nie była zimnem wywiązaniem się z trudnego często obowiązku, ale że każdy jej wyraz był wołaniem bolejącego serca, dzielącego smutek powszechny. Bez przesady, ale z właściwem ocenieniem zasług zmarłej, na które zdobyć się tylko może ktoś równy jej szlachetnością i pięknem duchowem, ks. Ruczka w słowach wymownych a zwięzłych skreślił rys życia tej zacnej pani, którego pismo to jest tylko bladem i nieśmiało rzuconym obrazkiem. Żal był ogólny, żebracy, chłopi, mieszczanie i obywatele każdy z ściśnionem sercem rzucił garść ziemi na trumnę, drogie wszystkim mieszczącą zwłoki, a ostatnie „*requiescat in pace*“ ciężkim smutkiem odbiło się w sercu przytomnych.

* W Paryżu robią obecnie próby w Palais Royale z bardzo ważnem odkryciem. Na stawek w ogrodzie Palais Royale puszczają balony szklanne, które potem żelaznemi drągami roztłukają. Balony te napełnione są płynem, który gdy rozleje się i zetknie z wodą, zapala się sam od siebie. Płyn ten palący się jasnym i silnym płomieniem, rozlewa się po całym stawku, pali się przeszło kwandrans silnym pożerającym wszystko ogniem. Stawek wygląda wtedy jak morze płomieni. Cesarz był obecny przy tych probach. Wynalazku tego mają użyć natychmiast w wojnie obecnej na Czarnem morzu i Baltyku. Fabryki szkła zajęte są robieniem wielkiej ilości podobnych balonów.

Przyjechali dnia 12. do 15. maja do Lwowa:

PP. Dulski Edward, z Tarnopola. Fredro Aleksander, z Rudek. Hubicki Karol, z Ozydowa. Jachimowski Alfred, z Malczyc. Thullie Jan, z Mokrzan. Zieliński Jan, z Brzeżan.

PP. Czacki Aleksander, hr. z Radymna. Czaykowski Mikołaj, z Mikołajowa. Jabłonowski Ludwik, hr. z Nastasowa. Jaruntowski Jan, z Hermanowic. Karnicki Feliks hr. z Roguzna. Konopka Franciszek, br. ze Zaleszczan. Krajewski Nikazy, z Raby. Kłopotowski Józef, z Beska. Lanckoroński Teodor, hr z Poddubiec. Romaszkan Mikołaj z Wiednia. Wojakowski Kornel, z Lipicy górnej. Woyna Ignacy z Petrzyc.

PP. Dobrzański Kalikst, z Dobru. Jarocki Wincenty, z Dydiatycz. Komorowski Piotr, hr. z Bilinki. Prawecki Marcelli, z Krakowa. Starzeński Wilhelm, hr. z Olejowa. Stecki Adolf, ze Żółkwi. Wereszczyński Nikodem, z Teofilki. Wojnarowski Antoni, ze Żółkwi.

PP. Byczkowski Wincenty, z Gołogór. Dobrzycki Stanisław, z Brodów. Gnoiński Aleksander, z Krasnego. Kotkowski Władysław, z Czerlan. Kozaryn Ignacy, z Ulicka. Krynicki Kazimierz, ze Żółkwi. Lipiński Karol, z Orłowa. Schlegel Lubin, z Rykowa. Siemiński Wilhelm, hr. z Jarosławia. Siemiński Konstanty, hr. z Wiednia. Sokołowski Konstanty, z Ulicka.

Wyjechali dnia 12. do 14. maja ze Lwowa:

PP. Dzieduszycka Izabela, hr. do Jabłonowa. Gołuchowski Artur, hr. do Żółkwi. Łoś Tadeusz, hr. do Narola. Obertyński Leopold, do Żółkwi. Stesicki Antoni, do Sądowej wiśni. Szymanowski Franciszek, do Żółkwi.

PP. Jachimowski Alfred, do Bełza. Łopuszański Antoni, do Mokrzan. Saszkiewicz Antoni, do Boratycz. Thullie Jan, do Mokrzan. Zwolski Julian, do Bryniec.

PP. Bąkowski Jan, hr. do Stryja. Gołuchowski Artur, hr. do Skały. Nahujowski Antoni, do Czernicy. Torosiewicz Michał, do Polkowa. Wiktor Jan, do Zarszyna.

Dzisiejszy. Kurs lwowski. Gotówką towarem.

Dzisiejszy.		Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	12	złr.	6	kr.	16.
Dukat cesarski	"	6	"	15	"	6	"	20.
Półimperyał zł. rosyjski	"	10	"	50	"	10	"	56.
Rubel srebrny rosyjski	"	2	"	6	"	2	"	8.
Talar pruski	"	2	"	2	"	2	"	4.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	"	32	"	1	"	33.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	"	91	"	45	"	92	"	—.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	—.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	136$^3/_8$.	Medyolan za 300 lirów	133$^1/_4$.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	160$^5/_8$.
Frankfurt za 120 złr. podług 24$^1/_2$ stopy	136.	Agio duk. ces.	40$^5/_8$.
		Srebra agio	36.
Genua	—.	Pożyczka 5% 86$^1/_{16}$. 4$^1/_2$	77$^7/_{16}$.
Hamburg za 100 tal. banco.	100$^5/_8$.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcye banku	1219.
Liwurno	132$^3/_4$.	Kolej północna	2145.
Londyn za 1 funt szterl.	13. 16.	Obl. ind.	5%. —

TEATR POLSKI.

W Piątek dnia 19. Maja 1854. **Pani Adamowa.** Oryginalny Dramat Józefa Korzeniowskiego, w 4 aktach.

Repertoar teatru polskiego. — 19. maja **Pani Adamowa. — 21. Ruy Blas. — 24. Ojciec Perin i Mąż na pokucie. — 26. Helena la Seiglère.— 29. Uriel Akosta. —** 2. czerwca. **Patrol i Detaxacja. — 5. Życie Zbrodniarza. — 7. Mulat.**

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**